

Koniec małego świata

7 maja 2013

Każda szkoła to mały świat. Składają się na niego zamieszkujący go ludzie (uczniowie, nauczyciele, woźni i inni pracownicy) oraz widoczne, trwałe elementy przestrzeni, takie jak budynki, ich wyposażenie, a nawet przypadkowo przyniesione tam i pozostawione rzeczy. Szkoła, podobnie jak wszystkie znane nam światy, organizuje przestrzeń wokół siebie, wpływa na otoczenie w sposób subtelny i na pierwszy rzut oka niewidoczny, ale bardzo silny. Nie widzimy tego na co dzień – zapominamy o tym prostym fakcie, opuszczając jej mury. Nie zajmuje nas to, choć nawet wiele lat później wciąż jesteśmy w jej orbicie, nie do końca sobie to uświadamiając. Gdyby nie to oddziaływanie, nie byłoby sukcesu portalu Nasza Klasa, nie byłoby też gorących reakcji absolwentów na to, co dzieje się w ich szkołach po bardzo wielu latach. Czasem jednak szkoła znika, zostawiając po sobie dotkliwą pustkę.

Przez Polskę w ostatnim dwudziestoleciu przetoczyła się ogromna fala likwidacji szkół. Nikt nawet nie starał się policzyć, ile placówek zlikwidowano, zarówno fizycznie, jak i poprzez przekształcenia, szczególnie podczas osławionej reformy edukacji z czasów premiera Buzka. Tak zginęła moja podstawówka, najstarsza szkoła robotniczego Widzewa, wywodząca swoje dzieje jeszcze z czasów małej salki stworzonej przy fabryce przemysłowca Kunitzera. Tak zginęły też setki innych szkół, mniejszych lub większych, i za każdym z tych zniknięć kryły się te same, doskonale znane nam skutki – dalsza droga do szkoły, większe zagęszczenie dzieci w budynkach i klasach, zwiększenie liczby uczniów przypadających na jednego nauczyciela i w sposób lustrzany odpowiadające mu zmniejszenie ilości czasu, jaki pedagog może poświęcić jednemu dziecku. Ale nie tylko to – ginęła też tradycja, ciągłość przekazywana z rodziców na dzieci, oś, wokół której gromadziły się wspomnienia rodzinne i wspólnotowe. Nikt spośród rządzących

nie próbował nawet zbadać, jak to się dla małych lokalnych wspólnot kończy, wołano zaufać tabelkom mówiącym, że dzięki likwidacjom wszystko się lepiej bilansuje i że po optymalizacji będzie lepiej.

Tymczasem okazało się, że nie wszystko wychodzi tak, jak powinno. Polskim dzieciom wciąż daleko jest do rówieśników z innych krajów Europy, choć w różnego rodzaju rankingach wypadają na ich tle całkiem nieźle. Dopiero gdy ktoś zapyta je o samopoczucie, okazuje się, że jest fatalne. Mimo względnie wysokiej pozycji w międzynarodowym programie oceny umiejętności uczniów PISA (piąte miejsce na 29 możliwych) polskie dzieci są na tle swoich rówieśników nieszczęśliwe, a poziom satysfakcji plasuje je na przedostatnim miejscu.

Z raportu UNICEF-u wyłania się obraz polskiego dziecka, które wbrew obiegowym opiniom o leniwych gimnazjalistach jest pracowite i chętne do nauki (jeden z najwyższych wśród badanych krajów współczynników kontynuacji nauki w szkołach wyższego szczebla), ale dana mu do rozwoju infrastruktura jest dalece niewystarczająca. Wrzucone do worka zbiorczej szkoły polskie dziecko jest samotne i wyalienowane w tłumie, często zagubione i mające poczucie pozostawienia samemu sobie. U nastolatków dochodzi też lęk przed przyszłością i niewiara w to, że ich sytuacja ulegnie poprawie. A jednak się uczą, bo edukacja wciąż jest postrzegana jako klucz do lepszej przyszłości.

Gdy my, pokolenie już starsze z punktu widzenia dzisiejszych uczniów, chodziliśmy do szkoły, podsuwano nam lektury, z których uczyliśmy się, że kiedyś było dzieciom źle. Cierpiały głód, ubóstwo i związany z nimi wstyd. Na domiar złego szkoła była najczęściej daleko, a nauczyciele – kiepsko opłacani i zbyt nieliczni, by móc zająć się wszystkimi dziećmi jak należy. Wkładając dziś naszym dzieciom te czytanki i lektury do tornistrów, pocieszamy się, że to przeszłość. Niestety, ta „przeszłość” powróciła i ma się doskonale.

Na początku tego roku gruchnęła wiadomość, że niemal 800 tys. dzieci może niedojadać, przychodząc do szkoły bez żadnego posiłku zjedzonego w domu. UNICEF donosi, że milion polskich dzieci żyje w ubóstwie, a kolejne 300 tys. nie ma dostępu do podstawowych dóbr, takich jak trzy posiłki dziennie czy dwie pary obuwia w roku. Te przerażające dane nie zrobiły jednak na rządzących zbyt wielkiego wrażenia, nie licząc skandalicznych wypowiedzi posła Niesiołowskiego o prawdziwym głodzie i jedzeniu szczawiu oraz posłanki Pitery przebąkującej o braku kultury jedzenia śniadań w Polsce.

Wiele lat temu, gdy kończyłem szkołę podstawową, miarą ubóstwa dzieci była ich waga. Jako jeden z nielicznych uczniów w mojej klasie mogący liczyć na trzy pełne posiłki dziennie, uchodziłem za grubasa tylko dlatego, że miałem wagę taką, jaką powinno mieć dziecko w moim wieku. Były to czasy reform Leszka Balcerowicza i następnych, w wyniku których upadł w moim mieście niemal cały przemysł, a bezrobocie sięgnęło wskaźników nieznanych od czasów wielkiego kryzysu przełomu lat 20. i 30. ubiegłego wieku. Dziś waga również doskonale wskazuje status materialny dziecka, choć w zupełnie inny sposób. Biednych ludzi nie stać na dobrą jakościowo żywność, a śmieciowe jedzenie z dyskontów i supermarketów jest bardzo tanie. I to znajduje swoje odzwierciedlenie w przywołanym już przeze mnie raporcie UNICEF-u, według którego właśnie w Polsce wystąpił najwyższy, 17-procentowy wzrost liczby dzieci cierpiących na nadwagę. Nie przeraźliwa chudość, ale otyłość stała się wyróżnikiem biedaka.

Mimo to zamykamy oczy i nie pamiętamy o czytankach z przeszłości, spiesząc się na autobus lub odwożąc dziecko do szkoły. No właśnie, odwożąc. Już zapomnieliśmy, że sami mieliśmy szkoły pod nosem, praktycznie na miejscu, na swojej ulicy lub na którejś z sąsiednich. Dzięki temu nasze podwórkowe przyjaźnie naturalnie przedłużały się w przyjaźnie szkolne, a wolny czas mogliśmy spędzać w otoczeniu znajomych z najbliższej okolicy. Dzisiaj jest inaczej. Nasze dzieci

zmuszone są do dalekich podróży, doskonale konsumujących ten wolny czas, który mogłyby spędzić z przyjaciółmi. Często niemożliwe jest już wyjście na podwórko z kolegą z klasy, bo żeby to zrobić, nie wystarczy – jak kiedyś – zadzwonić domofonem w sąsiednim bloku czy przejść odległość kilku lub kilkunastu domów. Teraz trzeba dojechać daleko, często na drugi koniec miasta, co przekracza możliwości dzieci. Do tego podróżowanie jest kosztowne, a każdy grosz trzeba liczyć.

W minionych czasach, słusznie potępionych, rozumiano to wszystko doskonale. Budując nowe osiedla, planowano je tak, żeby na każde kilka ulic przypadała co najmniej jedna szkoła podstawowa, jedno przedszkole i jeden żłobek. Siatkę tę uzupełniano szkołami ponadpodstawowymi różnych typów, dając dzieciom możliwość nauki blisko domu. Rozumiano, że najlepszą drogą do odmiany znanych z przedwojennej literatury zaklętych rewirów jest edukacja i szeroki do niej dostęp. Blisko usytuowana szkoła była kluczowym elementem tej polityki i przynosiło to wymierne efekty.

Dziś nie korzystamy z tej lekcji. Budujemy nowe osiedla pozbawione niemal całkowicie szkolnej i przedszkolnej infrastruktury, a stare ogałacamy z tej, którą odziedziczyliśmy w spadku. Co i rusz słyhać o kolejnych falach likwidacji szkół, za każdym razem tłumaczonych niżem demograficznym i wysokimi kosztami utrzymania. Decydenci nie zastanawiają się jednak i często nie mają świadomości, jaki naprawdę wpływ ma to na życie mieszkańców i samych dzieci, podnosząc ręce w zgodnym unisono partyjnej dyscypliny.

Oto mamy łódzki Księży Młyn, dawną robotniczą dzielnicę związaną z zakładami Scheiblera, a później Obrońców Pokoju. Istniała tu od XIX stulecia szkoła, ostatecznie zlikwidowana pod koniec pierwszej dekady obecnego wieku. Szkoła jedyna na terenie osiedla, niepowtarzalna i niezastępowalna. Wraz z nią odszedł też jedyny na osiedlu sklep, wokół którego koncentrowało się życie mieszkańców. Jego właścicielka założyła Klub Kobiet Księżego Młyna, w ramach którego – wraz z

innymi chętnymi do działania przedstawicielkami płci żeńskiej – organizowała dla mieszkańców osiedla pikniki i festyny. Pozbawiony uczniowskiej klienteli sklep upadł, a wraz z nim jego właścicielka, zepchnięta w otchłań bezrobocia i pracy na czarno (byle do emerytury), oraz animowany siłą jej woli i energii Klub Kobiet. Dziś na Księżym Młynie toczy się rewitalizacja, ale nie ma już pikników ani festynów.

Weźmy inną łódzką dzielnicę. Stary Widzew i leżący tuż za torami Grembach – kolejne biedne, dawniej robotnicze obszary. Niegdyś każdy z nich miał po jednym przedszkolu, jednej podstawówce i jednej szkole ponadpodstawowej. W 1989 r. zlikwidowano jedno z dwóch przedszkoli, w 1999 – jedną z dwóch szkół podstawowych, tworząc w jej miejscu gimnazjum. W marcu bieżącego roku zlikwidowano obie szkoły ponadpodstawowe, zostawiając na miejscu już tylko jedną podstawówkę, jedno gimnazjum i jedno przedszkole. Likwidacje te nie obyły się bez konfliktów – miejscowe liceum miało być połączone z innym, którego uczniowie żywiołowo zaprotestowali przeciwko spodziewanej inwazji „dresiarzy”, jak pogardliwie określili swoich biedniejszych kolegów. Biedniejszych, ale wcale nie gorzej się uczących. Gdy sprawa ujrzała światło dzienne i przedostała się na łamy prasy, uczniów bogatszej placówki potępiono, ale ziarno niezgody zostało posiane, a wykluczające słowa zapadły głęboko w pamięć, budząc wstyd i frustrację.

Wraz z odchodzącą szkołą ponadpodstawową skończył się świat pewnej kobiety, która żyła w mieszkaniu znajdującym się w szkolnym budynku. Mieszkanie to zajmowała na mocy obietnicy kiedyś danej jej mężowi, który przez kilka dziesięcioleci pracował w szkole. W zamian za swoją pracę i wyrzeczenie się na przestrzeni lat godziwej pensji otrzymał on dla siebie i swojej rodziny dach nad głową. Nie był to przywilej ani nawet dar. Była to rekompensata choć w części wynagradzająca to, że za ciężką pracę człowiek ten otrzymywał niewielkie pieniądze, niewystarczające na znalezienie innego lokum. Obietnica ta obowiązywała nawet po jego śmierci. Została zerwana niedawno,

a samotną wdowę, żyjącą z kilkusetzłotowej renty chorobowej, czeka przesiedlenie do lokalu socjalnego, najpewniej znajdującego się w złym stanie technicznym i pozbawionego podstawowych wygód. Przyrzeczenie dane jej mężowi okazało się nic niewarte, ale kto by się przejmował obietnicami danymi zwykłym ludziom, gdy należy dotrzymywać deklaracji złożonych sojusznikom z Ameryki i rynkom kapitałowym?

Likwidując szkoły, likwidujemy nie tylko budynki. Likwidujemy centra, wokół których grupują się lokalne społeczności, a ich zniknięcie pociąga za sobą cały łańcuch następujących po sobie wydarzeń i skutków, które nie zawsze potrafimy dostrzec. Wiele z tych społeczności jest słabych, zniszczonych długimi latami transformacji i permanentnego kryzysu, w którym żyją, a my zamiast pomagać, zabieramy im jedną z ostatnich szans na wydobyć się z biedy. Gdy słyszę o tym, że znika gimnazjum położone w samym środku zidentyfikowanej przez socjologów enklawy ubóstwa, trudno mi powstrzymać emocje, bo w tym samym czasie wydajemy setki milionów złotych na nowe drogi i stadiony, w moim mieście aż dwa. Chowając się za wielkimi inwestycjami, jeszcze bardziej zostawiamy dzieci z biednych dzielnic samym sobie, rzucając im pod nogi kolejne kłody. Najsilniejsze z nich przetrwają i pójdą dalej, niosąc w sobie wieczną krzywdę i urazę. Te słabsze zaś zapadną się w niemocy i już w swojej dzielnicy pozostaną. Dopóki jakaś iskra nie wyprowadzi ich na ulice, gdzie dadzą wreszcie wyraz temu, co myślą o okrutnym, darwinistycznym eksperymencie, który na nich przeprowadziliśmy. Nie chciałbym być wtedy w naszej skórze.

Autor: Jarosław Ogrodowski

Źródło: [Nowy Obywatel](#)